EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 12 Listopada 1933 R. | NR. 46 (59)

Postępy hitleryzmu

Wielki wędrowiec

Dzień protestu

Klątwy bez znaczenia

Obrazki więzienne

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Orosius. Wasowski. Rogowicz. Waśniewski. Pruski. Gadomska.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

AUTO-DA-FÉ

Czasopisma paryskie *Vu* i *Lu* ogłosiły przed kilku miesiącami „Konkurs auto-da-fé". Czytelnicy francuscy wypowiedzieli się za spaleniem książek następujących autorów:

Leon Daudet — 1840 głosów, Victor Margueritte — 1480, Emil Zola — 1420, Maryse Choisy — 1240, Hitler — 1080, Clémet Vautel — 1060, François Coty — 1040, Maurice Dekobra — 900, Henry Bordeaux — 810, D. H. Lawrence — 806, Maurice Barres — 800, Charles Maurras — 740, Paul Bourget — 680, J. J. Rousseau — 560, Voltaire — 460, Rabelais — 460, Raymond Poincaré — 380, d'Annunzio— 360, Gobineau — 320, Nietzsche — 300, Henri Barbusse — 120, Mussolini — 120, Paul Claudel — 105 i t. d.

SINCLAIR ZMIENIA POGLĄDY

Dziennik lewego skrzydła socjalistów *The American Guardian* donosi:

„Potępiając opuszczenie socjalistycznych szeregów przez Uptona Sinclaira i jego zapowiedź kandydowania z ramienia demokratów na stanowisko gubernatora, komitet wykonawczy partji socjalistycznej stanu Kalifornji potępia bezwzględnie przymierze Sinclaira ze stronnictwem demokratów. Deklaracja potępiająca brzmi:

„Zważywszy, że Upton Sinclair wstąpił do partji, którą od ćwierć wieku pogardzał i którą zwalczał, jako najgroźniejszego wroga świata pracy, oraz zważywszy, że postępowanie Sinclaira sprzeczne jest z statutem partji socjalistów, Komitet wykonawczy postanawia wykluczyć Uptona Sinclaira z partji socjalistycznej, a postępowanie jego potępić. Ostrzegamy zarazem przed fałszywemi sugestjami o możliwości zużycia partji demokratów do walki o interesy świata pracy".

NĘDZA KUBAŃSKA

Pismo nowojorskie *New Republic* zamieściło artykuł Hudson Strode'a o stosunkach kubańskich, z którego przytaczamy fragmenty:

„Przed oblężeniem opuszczonego pałacu prezydenta w Hawanie przez wygłodzoną ludność, tłum robotniczy manifestował na ulicach Santiago i przed domem José Martineza, naczelnika tajnej policji. Najgłośniej demonstrowała 20-letnia America Labadi. Na oczach tysięcy manifestantów, młoda dziewczyna padła od kuli José Martineza... America Labadi była z zawodu szwaczką. Za uszycie w ciągu dnia dwunastu koszul otrzymywała... 2 franki. Przy dodatkowej pracy nocnej wykwalifikowana pracownica zarabia w Santiago 4 fr. dziennie. Takie zarobki kierują większość dziewcząt na drogę prostytucji. Prostytucja była doniedawna intratnym zawodem na Kubie. Wraz z kryzysem, od r. 1928, liczba prostytutek przerażająco wzrosła, powodując ostrą konkucję i zniżkę „cen" ...Na plantacjach trzciny cukrowej robotnicy zarabiają 2 do 4 franków za pracę od wschodu do zachodu słońca. Bezrobotnych jest — legjon, a liczba żebraków ulicznych stale wzrasta.

...„Każdy kubańczyk z zapałem uczestniczył w obaleniu prezydenta Machado. Wierzył, że po utrąceniu dyktatora, otrzyma natychmiast pracę i chleb.

...Błędem byłoby przypisywać propagandzie komunistów przewrót na Kubie. Mimo rozpaczy, mimo głodu i nędzy, która gnębi ludność wyspy, agitacja komunistów, przybyłych z Hiszpanji i Stanów Zjednoczonych, napotyka opór. Kubańczycy nie rozumieją zasad komunistycznych. Żądają od życia niewiele. Komuniści obiecują im dać chleb i ochronę przed „dyktatorską szajką". Mimoto, kubańczycy woleliby spokojny i umiarkowany rząd, który zdołałby choć w części zapełnić ich puste żołądki".

BESTJALSKI SAMOSĄD

Chicago Tribune opisuje potworny akt lynchu:

„Gubernator Rychtie (Maryland) pociągnął do odpowiedzialności sędziego i prokuratora miejscowości Princess Anna. Chodzi o samosąd, dokonany na 24-o letnim murzynie, George Armwood, który został powieszony, a następnie spalony przez tłum.

Oskarżenie opiera się na fakcie, że sędzia Duer i prokurator Robbins ręczyli za bezpieczeństwo Armwooda, który przebywał w więzieniu. W nocy rozwydrzony, dwutysięczny tłum zaatakował więzienie w celu odebrania z rąk władz murzyna, oskarżonego o napastliwe zachowanie wobec kobiety amerykańskiej, liczącej... 82 lata.

Tłum wyważył drzwi. Strażnicy nie stawiali oporu. Dyrektor więzienia wyraził jedynie obawę, aby tłum nie omylił się co do osoby murzyna. Wywleczono Armwooda i oprowadzano go po mieście z jarzmem, nałożonem na szyję. Przed domem sędziego powieszono na drzewie murzyna, obitego uprzednio i poranionego nożami. Trupa oblano potem benzyną, podpalono, a tłum tańczył podczas makabrycznego spektaklu. Sznur, na którym zawisł Armwood, pocięto i rozdano jego części uczestnikom na pamiątkę egzekucji".

WYSTAWA KSIĄŻKI POLSKIEJ ZAGRANICĄ

Otwarcie wystawy Książki Polskiej Zagranicą (w językach obcych), odbyło się dn. 7 b. m. w Pałacu Raczyńskich, w apartamentach Ministra Spraw Zagranicznych. Wystawa ta przeniesiona będzie następnie do Kamienicy Baryczków.

Następujące kraje są reprezentowane na wystawie (Liczby w nawiasach oznaczają ilość przekładów w danym kraju):

Austrja (42), Belgja (8), Brazylja (1), Bułgarja (79), Chili (1), Chiny (1), Czechosłowacja (394), Danja (12), Estonja (19), Finlandja (24), Francja (281), Grecja (3), Holandja (16), Hiszpanja (29), Italja (181), Japonja (6), Jugosławja (80), Litwa (12), Łotwa (20), Niemcy (256), Norwegja (11), Palestyna (6), Rumunja (14), Rosja (414), Sowiety (150), Ukraina (23), Stany Zjednoczone (54), Szwajcarja (27), Szwecja (61), Turcja (1), Węgry (58), Wielka Brytanja (63), Esperanto (27).

Katalog obejmuje 2416 pozycyj, przedmowy Dr. A. Guttry'ego, Dr. J. Muszkowskiego, J. Kaden-Bandrowskiego oraz indeksy autorów, tłumaczów, wydawców i wystawców.

DALSZE POSTĘPY HITLERYZMU

Po zwycięstwie Hitlera w Niemczech wiosną r. b., autor tych słów w tem samem miejscu (*Epoka* z dn. 7 maja r. b.) starał się wykazać, że reakcja polityczna w Niemczech była w znacznej mierze dziełem mocarstw zachodnich, i że już z tego tytułu Europa okaże znaczną tolerancję dla hitleryzmu. Przewidywania te okazały się słuszne. Ponieważ zaś Europa jest zbyt małem terytorjum, aby poszczególne jej kraje mogły być rządzone na podstawie zupełnie odmiennych zasad, tolerancja Europy dla hitleryzmu musiała pociągnąć za sobą jako naturalną konsekwencję pojawienie się hitleryzmu i różnych pseudohitleryzmów także w pozostałych krajach Europy.

Do tego ogólnego obrazu przybył ostatnio jeszcze jeden ważny szczegół: największą bodaj tolerancję dla hitleryzmu okazała Rosja Sowiecka. Tego, być może, trzeba się było odrazu domyślać, trudno jednak było przewidzieć argumenty i rozumowania, które miały przyprowadzić do tego rezultatu.

W ocenie obecnych stosunków niemiecko-sowieckich należy liczyć się przedewszystkiem z dwiema przesłankami najogólniejszemi, które rzucają pewne światło na stronę niemiecką zagadnienia. W polityce wewnętrznej Niemiec, komuniści i hitlerowcy są starymi sojusznikami, ożywionymi jednakową nienawiścią do pokonanej dziś już republiki demokratycznej i parlamentarnej. Bez pomocy III-ej Międzynarodówki obalenie republiki przez narodowych socjalistów i niemiecko-narodowych było niemożliwe. Historycznie więc konflikt między komunizmem i hitleryzmem nie przedstawia się tak tragicznie.

Drugą niemniej ważną przesłanką jest tradycja rusofilska nacjonalizmu niemieckiego. Niemcy powojenne miały dwie orjentacje: zachodnią i wschodnią. Wszystkie stronnictwa, na których opierał się ustrój republikański i parlamentarny, od socjaldemokratów do ludowców Stresemanna (byłych nacjonal-liberałów) włącznie, były za zbliżeniem się do mocarstw Zachodu. Wszystkie natomiast stronnictwa antyrepublikańskie miały orjentację wschodnią, upatrując w Rosji naturalnego sojusznika, obecnego lub przyszłego, w domniemanej wojnie, mającej obalić traktat wersalski i rozszerzyć granice Niemiec. Handel z Rosją i odbudowa przemysłu, zwłaszcza wojennego, rosyjskiego, była finansowana przez te same osoby i instytucje niemieckie, które pomogły tak wybitnie rozwinąć się ruchowi hitlerowskiemu. Hitler sam w okresie pochodu do władzy przezornie nie wypowiadał się wyraźniej za orjentacją wschodnią. Dziś jednak, gdy przejął już cały spadek polityczny po Hugenbergu i towarzyszach, znalazł w tym spadku dokładnie wypracowaną i wyargumentowaną przez speców przemysłowych i wojskowych orjentację wschodnią, której przecież nie spalił na placu razem z książkami marksistów.

Po krótkim okresie wahania, stosunki między Trzecią Rzeszą i Unją Sowiecką wygładziły się znów. Nowy ambasador niemiecki w Moskwie, Nadolny, będzie zapewne miał za zadanie doprowadzenie ich do jeszcze większej poprawności. Można zatem przypuszczać, że w tej poprawie stosunków rząd hitlerowski, podejmując tradycje nacjonalizmu niemieckiego, musiał odegrać rolę czynną, okazać dużo dobrej woli.

Przyjrzyjmy się teraz stronie sowieckiej, o której niezwykle pouczające informacje przynosi *Die neue Weltbühne* z 19 października.

Wielu zapewne z naszych czytelników pamięta jeszcze starą berlińską *Weltbühne*, którą redagował nieustraszony i mądry zarazem publicysta niemiecki, Carl von Ossietzky, więziony od chwili przewrotu w obozie koncentracyjnym pod Berlinem. Paru współpracowników i adherentów Ossietzkyego podjęło po przewrocie analogiczne wydawnictwo w Wiedniu. Austrja jednak, wahająca się dziś między pruskim i swoim ojczystym hitleryzmem, nie była właściwem miejscem dla tego rodzaju wydawnictwa, które po kilku tygodniach zmuszone było do nowej emigracji, tym razem do Pragi, gdzie mieści się i rozwija do dziś dnia.

W *Die neue Weltbühne* drukuje co pewien czas korespondencje z Rosji Louis Fischer, dziennikarz amerykański, mieszkający od przeszło 10 lat w Moskwie, największy bodaj znawca spraw sowieckich wśród publicystów zagranicznych, autor kilku dobrych książek o Sowietach, między innemi książki p. t. *Watykan i Kreml*, zawierającej objaśnioną ciekawemi dokumentami historję pertraktacyj między Watykanem i rządem sowieckim. Louis Fischer pisze, rzecz prosta, pod cenzurą i jest naturalnym apologetą rosyjskiego komunizmu. Pisze jednak tylko o rzeczach, które sam widział, o sprawach, które sam przemyślał, i w ten sposób, chwaląc Sowiety, umie zawsze dać do zrozumienia, o co w każdej sprawie właściwie chodzi.

Ostatnia korespondencja Fischera jest próbą wytłumaczenia sympatykom komunizmu w krajach kapitalistycznych całkowitej obojętności, neutralności Sowietów wobec wypadków niemieckich. Neutralność ta wyraża się w następujących faktach. Kiedy prasa całego świata potępiała prześladowania żydów w Niemczech, prasa sowiecka powstrzymała się od komentarzy na ten temat. Prześladowania komunistów również nie zakłóciły stosunków rosyjsko-sowieckich. Rząd moskiewski odnowił w czasie tych prześladowań berliński pakt o nieagresji z 1926. Egzekucja czterech komunistów w Altonie, która wywołała niezliczone komentarze i protesty w prasie burżuazyjnej, pozostała bez echa w Rosji. Nie było tam żadnych demonstracyj, żadnych protestów. *Izwiestja* przedrukowały głosy prasy burżuazyjnej, nie dodając nic od siebie. Taką samą postawę zachowały pisma i organizacje t. zw. nieoficjalne, jak *Prawda* lub związek autorów sowieckich. Maksim Gorkij nie dołączył swego głosu do głosów Romain Rollanda i Einsteina.

Fischer odrzuca argument, jakoby miarodajna opinja sowiecka, przywykła do czerwonego terroru, nie miała dość czystego sumienia, aby podnosić głos na widok takiegoż terroru w innych krajach. Przecież, powiada, czerwony terror nie przeszkodził komunistom rosyjskim zabierać głosu w sprawach Toma Mooney'a, Sacco i Vanzettiego, ani żądać zwolnienia komunistów węgierskich i rumuńskich. Z relacji Fischera wynika zatem, że pogromy żydów i marksistów w Niemczech otoczone są dla opinji sowieckiej pewnem tabu. Potępianie ich nie jest dozwolone.

W dalszych, bardzo obszernych wywodach Louis Fischer stara się objaśnić motywy tej ścisłej neutralności Sowietów. Z rozważanych przezeń argumentów, przytoczymy dwa, które zdają się mieć największą wagę:

1) Rosja zmuszona jest do unikania wojny za wszelką cenę, ewentualnie nawet za cenę ofiar terytorjalnych. Przyczyną tak zdecydowanego pacyfizmu jest wielki rozstrój transportu i aprowizacji, co nie pozwala używać czerwonej armji dla celów innych od polityki wewnętrznej.

2) Dalszy rozwój industrjalizacji Rosji jest tak ściśle związany z dostawami niemieckiemi, że brak tych ostatnich groziłby załamaniem się przebudowy gospodarczej kraju.

Na tych przesłankach Louis Fischer buduje następujące rozumowanie: przyszłość mocarstwowa Unji Sowieckiej zależy od powodzenia jej planów gospodarczych, którym podporządkowana jest w chwili obecnej cała polityka sowiecka. Robienie grymasów pod adresem Hitlera jest zabawą dobrą dla płytkiej opinji burżuazyjnej, Sowiety zaś mają własne, zbyt poważne zadania, aby uczestniczyć w tak płochej zabawie.

Przetłomaczywszy to na język bardziej realny, spostrzeżemy pojawienie się u apologetów komunizmu pewnego nowego argumentu: *rosyjskiej racji stanu*, nakazującej neutralność w stosunku do pogromów niemieckich. Do różnych zatem motywów tolerancji Europy dla hitleryzmu przybył nam jeszcze jeden w postaci rosyjskiej racji stanu. Ogłoszona światu przez Fischerów i innych apostołów dobrej nowiny, rosyjska racja stanu ma być wskazówką w ustosunkowaniu się do hitleryzmu dla wszystkich posłusznych i sympatyzujących z poczynaniami rosyjskiego komunizmu.

Orosius

WIELKI WĘDROWIEC

Na Powązkach stanął pomnik ś. p. Antoniego Langego, wzniesiony staraniem Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy.

Niespełna pięć lat minęło od zgonu poety. Czas szybko leci i szybko odwracamy się od niedawnej nawet przeszłości. Niekiedy zbyt szybko, gubiąc w niepamięci rzeczy piękne, o których przypominać wciąż należy.

Wielka, wielobarwna, mieniąca się wszystkiemi kolorami tęczy poetyckiej była księga twórczości ś. p. Antoniego Langego. Ostatni to z dawnych tytanów pracy, którym równych niema już dzisiaj, ostatni z tych, których rozpiętość i pojemność ducha tak były ogromne, że są dla nowego pokolenia niemal już nie do pojęcia.

W dziesiątkach tomów wypowiadał się człowiek, patrzący na niezmierzone obszary życia wzrokiem przenikliwym myśliciela i poety, uczący się tego życia z nauk wszelkich, zewsząd płynących, z przeszłości i teraźniejszości, z ziemi i nieba, od ludzi i od tajemnic kosmosu. Wchłaniał te nauki, zbierał je z wiecznym niepokojem, zwracał się po nie do czasów zamierzchłych, by je usłyszeć w najstarszych legendach, podaniach, hymnach i modlitwach, zbliżał się też do wszystkich krynic mądrości, żeby przez świat wiedzy lepiej ocenić świat życia, a obcując z duchami myślicieli wszystkich czasów, z ich słowem filozoficznem i metafizycznem, kształtować swój własny stosunek do wszechrzeczy.

O nim naprawdę powiedzieć można, że nic co ludzkie, nie było mu obce. W literaturze wszechświatowej wybierał te przedewszystkiem karty, na których zapisały się największe natchnienia twórców wszechludzkiego ideału, natchnienia podobne, pokrewne, choć w różnych językach wyrażone, czy

w słowach sanskryckich, perskich i arabskich, czy w kilkunastu językach Europy.

Przekłady Langego z tego przecież szły źródła: z pokrewieństwa jego ducha z przejawami twórczości, która tęskni do dobra i do szczęścia świata. Wielce różni się „Iljada" od „Mahabharaty", innym jest zgoła Shelley, niźli Verlaine, do innego świata należy pieśń Persów i Arabów, niż twórczość poetów czeskich, węgierskich, francuskich, angielskich, hiszpańskich, wszelako *wielki wędrowiec* na wszystkich szlakach poezji szukał i znajdywał pokrewieństwo, skarby wspólne, westchnienia te same, myśli w istocie swej jednakie: westchnienia i myśli człowieka, pragnienie uszlachetnienia bytu ludzkiego na ziemi, wznoszenie się ponad granice tego bytu.

Żył pokarmem stuleci i myślą wybiegał w przyszłość najdalszą. Zakreślał łuk ducha ogromny — od najstarszych pomników literatury hinduskiej — do wizji dalekiego jutra, które rysował we własnych obrazach utopijnych, przenosząc się w ów Suriawastu, gdzie „słońcogrodzianie" rządzeni są przez ministerja Miłości, Mądrości i Piękna (powieść p. t. „Miranda").

Pisano o utworach Antoniego Langego, że to jest „poezja intelektualna" a byli tacy, którzy w tem określeniu chcieli wyrazić opinję ujemną. Tak, w wielu pieśniach i poematach była to poezja intelektualna, lecz właśnie w znaczeniu dodatniem. Czem byłaby poezja, gdyby jej obcą była myśl filozoficzna i myśl społeczna? Tylko muzyką słowa, tylko dźwiękiem. I w tej muzyce i w tym dźwięku przyniosła owoce swojej cudownej zabawy, lecz szersze jeszcze obejmuje sfery tworzenia. „Faust" Goethego to również „poezja intelektualna". Nie chcieć jej, dyskwalifikować ją może tylko ten, kto w nauce i kto w filozofji nie widzi poezji. Antoni Lange, w rymie najbardziej kunsztownym, którym władał po mistrzowsku, wypowiadał swe idee, filozoficzne i społeczne, wznosząc się przecież na wyżyny poetyckiego piękna, którego nie brak również w jego licznych utworach okolicznościowych.

Tu znowu może ktoś pomyśleć z grymasem sceptycyzmu: cóż to są utwory okolicznościowe? migawki, bańki mydlane, rzeczy przemijające, bo w pewnych tylko momentach „aktualne". Lecz są okoliczności i — okoliczności. Są wielkie wydarzenia, które dokumentują się w słowach poety, a słowa te zostają w dziejach literatury, jako światło poezji, rzucone na historję.

Niepospolita wrażliwość duszy, wpatrzonej w przyszłość, wypatrującej lepszego jutra, podpowiada mu niejedną przepowiednię, jak np. w niezapomnianym wierszu „Do niewolników" (r. 1894), w którym maluje obraz przyszłej rewolucji w państwie cara. Widział ją, przeczuwał, wiedział poprostu, że nadejdzie straszliwy dzień pomsty i walk „jakich nie znał jeszcze świat zdumiony". Wiedział, że niewolnicy „skrwawioną dłonią na bestję o jedynej głowie runą i na śmierć ją zadławią ostatnią", co też spełniło się po latach dwudziestu dwóch. W wierszu „Na wojnę chińską" (r. 1901) wzywa Japonję, by cios zadała Moskwie. Tak się też stało.

Pieśni społeczne Langego wołają krzykiem tak gorącym, tchną siłą jak ogromną, że choć to czasy dawne i choć dotyczą spraw, które zmieniły swą postać, ta poezja walki, poezja ludzkiego dobra, zawsze będzie żywotna i najszlachetniejszą strawą duchową karmiąca.

Józef Wasowski

ODGŁOSY

ROCZNICA

Daty rocznicowe dają sposobność nietylko do uroczystych obchodów, ale i do zastanowienia się nad istotnem znaczeniem okresu minionego, nad doświadczeniami przeżytemi, jakoteż nad sprawą dalszej drogi historycznej.

W 15-tą rocznicę niepodległości Polski będziemy mieli dużo barwnych widowisk, rewij, akademij i t. p. To najpopularniejsza forma zewnętrznej manifestacji, odpowiadająca zresztą odwiecznej potrzebie gestów i efektów. Każda społeczność ludzka odczuwa tę potrzebę i niema powodu, by jej nie zaspakajać, zwłaszcza, gdy strona dekoracyjna ma upiększyć obchód dobrej, albo wielkiej sprawy. A odzyskanie niepodległości jest największą w dziejach narodu chwilą, której dziejowego znaczenia nic nigdy zatrzeć nie zdoła.

Wszelako moment widowiskowy nie powinien wyczerpywać całego sensu poważnych obchodów. Powagę rodzi dopiero myśl świadoma, uczciwa, pracująca: zastanowienie lub zaduma nad wszystkiem, co odmiana dziejów przyniosła życiu narodu, co przynieść jeszcze może i jaką rolę w budowaniu przyszłości odegrać winna świadoma wola pokolenia.

Dziś bez nadmiernego trudu uprzytomnić sobie można, że żyjemy w okresie gospodarczego, a przez to samo politycznego prowizorjum świata, od którego chaosu nie odgradzają nas żelazne granice. Od tego, na jaką *przebudowę* zdobędziemy się sami, zależeć będzie stopień naszej samodzielności w życiu społeczno-gospodarczem.

Postulat elementarny i niewzruszony, hasło pierwsze i podstawowe: niepodległość państwa nie wyczerpuje jeszcze przykazań czasów naszych, wołających o pracę ogromną na wszystkich polach życia zbiorowego, pracę, która odbywać się musi pod znakiem najwyższej odpowiedzialności dziejowej.

Tylko ci, którzy zdają sobie sprawę z powagi czasów i z wielkości przełomu społecznego, jaki przeżywamy, mogą być prawdziwymi budowniczymi przyszłości nowej.

R.

NIEZBĘDNA PRZECIWWAGA

Po wypadkach na uniwersytecie warszawskim można powiedzieć do tych, którzy metodycznie, całemi latami, dzień w dzień szerzą wśród młodzieży ducha nietolerancji, zacietrzewienia, nienawiści: oto zbieracie plon, takie są owoce waszej nauki, a wszelkie wasze „ubolewania" są w tej chwili śmieszne. Ubolewajcie nad własną nieprzytomnością polityczną, nad własnym nierozumem, nad własnym zanikiem poczucia odpowiedzialności. Lecz potępić samych siebie napewno nie potrafią.

Ze strony przywódców opozycji nacjonalistycznej nie słyszało się nigdy ani jednego słowa przestrogi pod adresem młodzieży. Przeciwnie, podniecano ją nieustannie do „czynu", który — od czasu do czasu — znajdował wyraz barbarzyński. Nie zmieniło się tu nic od czasu, kiedy młodzież pchnięto na ulicę, by nie dopuściła do wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej, ś. p. Gabrjela Narutowicza. Mamy za sobą długi szereg „wystąpień" tej młodzieży, który składa się na jedno wielkie wobec państwa i narodu przestępstwo. Przestępstwo, polegające na utrudnianiu, uniemożli-

wianiu normalnego trybu życia społecznego, na szerzeniu zamętu, demagogji i warcholstwa, które rozpanoszyło się już potwornie w murach wyższej uczelni.

Przywódcy tej młodzieży, za wszystkie jej wybryki moralnie odpowiedzialni, uczynili wszystko, co mogli, żeby poderwać powagę instytucji naukowej. Cóż im nauka wobec celów politycznych?

Teraz — skutki. Opłakane. Nie sądzimy, żeby mogły otrzeźwić tych, których racją bytu jest wytwarzanie takiej właśnie atmosfery. To tylko nauka, jakiej *przeciwwagi*, mocnej i zdecydowanej, wymaga robota nieprzytomnych agitatorów.

KLĄTWY BEZ ZNACZENIA

Na zjeździe rabinów, odbytym w Warszawie, uchwalono protest przeciwko wydawaniu zwłok Żydów do prosektorjum Uniwersytetu Warszawskiego dla celów naukowych. Zjazd rabinów ogłasza, że jest to sprzeczne z zasadami religji mojżeszowej. W końcowej części uchwały zjazd zagroził bojkotem szpitala żydowskiego na Czystem oraz rzuceniem klątwy, jeśli szpital ten będzie w dalszym ciągu przekazywał zwłoki uniwersytetowi.

I w tej i w innych sprawach rabinom nie pozostało nic innego, jak rzucać klątwy. Na wszystko, co jest rzeczywistością współczesną, a co przeraża i płoszy żyjące jeszcze widma średniowiecza. Jeśli pomoc, udzielana nauce przez dostarczenie zwłok do prosektorjum, nie godzi się z religją, tem gorzej dla religji.

DZIEŃ PROTESTU

29 października przypadał „Dzień międzynarodowego protestu przeciw faszyzmowi", zorganizowany przez „Międzynarodowy Komitet imienia Matteottiego. (Inicjatorką „Dnia protestu" jest znana działaczka społeczna Anglji p. Pankhurst). W sali warszawskiego Towarzystwa Higjenicznego odbył się tego dnia zbiorowy odczyt p. t. „Zbrodnie międzynarodowego faszyzmu". Przemawiali kolejno: p. W. Weychert-Szymanowska w imieniu Komitetu im. Matteottiego, poseł K. Czapiński — o źródłach i metodach faszyzmu, p. W. Barcikowski — o faszyzmie włoskim i p. Z. Dubnowa o hitleryzmie.

P. Czapiński, określając źródła ideologji i metod faszyzmu, wskazał cechy wspólne międzynarodowego ruchu faszystowskiego. Są niemi: mistyka osobowości (Il Duce czy Führer), negacja demokracji i jednostki, osłonięta formułą prymatu państwa i „totalność" pojmowania państwa, któremu wszyscy i wszystko musi być poddane, podporządkowane, „zgleichschaltowane". Obok cech zasadniczych i wspólnych istnieją przymioty odrębne, odróżniające poszczególne faszyzmy. Włoski faszyzm chętnie posługuje się teorją elity (Pareto), powołuje się na tradycje cesarstwa rzymskiego, hołduje ustrojowi korporatywnemu. Hitleryzm zaś wyodrębnia się wojowniczem nastawieniem w polityce zagranicznej, uzasadnionem przez „teoretyka-dyplomatę" nazi — Rosenberga tezą „narodu bez przestrzeni" (Volk ohne Raum), który musi zdobyć ziemię. Wyróżnia się hitleryzm — rasizmem, który też jest odskocznią dla imperjalizmu (zawojować Europę dla długogłowej, szlachetnej rasy nordyckich blondynów!). Specjalną też cechą niemieckiego faszyzmu jest jego stosunek do Żydów, który wyraził się m. in. w formule — „walka z procentem" — mającej odegrać rolę wabika na chłopów i drobnych rzemieślników. „Brechung der Zinsknechtschaft!", zaś „Zins" — to Żyd!

Dzieło niszczenia, dokonywane w literaturze, w teatrze, metody, stosowane wobec Żydów i przeciwników politycznych, dobitnie świadczą o tem, że faszyzm jest zjawiskiem nawskroś antykulturalnem. P. Czapiński wskazał tu dziwny i niezrozumiały wprost fakt: do pisma emigranckiego *Sammlung* zgłosili współpracę, a *następnie cofnęli pod naciskiem hitlerowskiej „Zentralstelle"* tej miary pisarze jak Döbblin, Schickele, Tomasz Mann i Stefan Zweig! Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Niezrozumiała jest owa łatwość, z jaką hitleryzm łamie twórczych ludzi.

W imieniu Ligi Obrony praw człowieka i obywatela przemawiał adw. Barcikowski, który odtworzył męczeńskie dzieje Matteottiego i dał zwarty zarys historyczny włoskiego faszyzmu.

Ustała wojna, ale rozwydrzone, dzikie instynkty nadal działają. Mussolini wierny jest dotychczas swemu wyznaniu: „Zawsze szedłem po trupie wolności i będę go jeszcze deptał". Wstrząsającem oskarżeniem zabójczych, nieludzkich metod faszystów są słowa umęczonego przez nich G. Mendoli, który na łożu śmierci oświadczył: „Zabili parlament— straciłem możność mówienia, zabili prasę — straciłem możność pisania, zabili mnie — straciłem możność życia. Ale nie to jest najgorsze: oni zabijają Italję!"

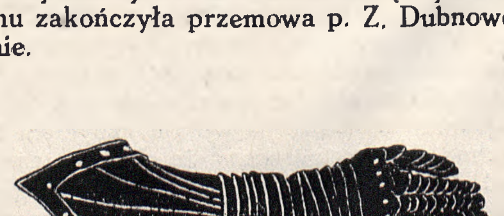
Wstrząsającym dokumentem barbarzyństwa faszystowskiego i mocnym aktem oskarżenia przeciw Mussoliniemu są spisane zeznania Alpino Volpi, jednego z morderców, który opowiedział o ostatnich chwilach Matteottiego. Matteotti, porwany w aucie przez nasłanych zbirów, cierpiał nieludzkie katusze przed śmiercią. Zadawano mu najokrutniejsze tortury. A nazajutrz po mordzie, Mussolini cynicznie oświadczył: „Mateotti zawsze szukał opozycji, a teraz opozycja szuka jego w... rynsztokach".

A w miejscu, gdzie porwano Matteottiego, nieznana ręka narysowała na ulicznym bruku czarny krzyż, przechodnie rzucali na ten symboliczny grób wiązanki kwiatów. Policja uprzątała kwiaty, wrzucała je do Tybru, a nazajutrz znów leżały na ulicznym krzyżu kwiaty.

Dalszym ciągiem męki Matteottiego jest martyrologja jego żony i dzieci. O dziejach ich opowiedział adw. Barcikowski, cytując *Epokę* (nr. 3-ci r. b., artykuł Wacława Rogowicza p. t. „Infamia fascista").

Zbiorowy odczyt o zbrodniach międzynarodowego faszyzmu zakończyła przemowa p. Z. Dubnowej o hitleryzmie.

Sz.



NAJNOWSZE KSIĄŻKI

KOMIZM KSIĄŻKI TRAGICZNEJ

Jak to było ze słynnemi „baranami Panurga"? Przypomnijmy sobie z rebelaisowskiego „Pantagruela"... Podczas podróży morzem kupiec Dindenaut zwymyślał Panurga. Żeby się zemścić, Panurge kupuje od Dindenauta jednego barana ze stada, jakie handlarz ze sobą wiezie i wrzuca go do morza. Słysząc bek towarzysza, wszystkie barany, jeden po drugim, skaczą za nim do wody, a ostatni którego zrozpaczony Dindenaut chce zatrzymać siłą, wciąga i jego w morze. Handlarz tonie razem ze swojem stadem, porwanem „owczym pędem".

Historja właściwie tragiczna, a jednocześnie pełna komizmu.

Przyszła mi na myśl, gdym się zastanawiał nad bogactwem elementów komicznych w tragicznej książce Céline'a „Podróż do kresu nocy", świeżo wydanej w moim przekładzie.

Tragizm tej fenomenalnej powieści polega na tem, że bohater, fanatyk wędrówki aż... do kresu nocy w duszach ludzkich, nienasycony zdzieracz masek obłudy, głupoty i podłości, no i chciwości, przedewszystkiem potwornej chciwości Francuzów, staje się po każdym nowym etapie swej „podróży" coraz bardziej zdecydowanym pesymistą. Nie podaje on żadnych środków uleczenia gangreny moralnej, toczącej dzisiejszego człowieka; wyczuwa się u Céline'a jedno życzenie.

Niech zginie ustrój społeczny, który do takiego stanu ludzkość doprowadził! Optymizm wobec takiego widowiska, jakie przedstawia świat dzisiejszy Céline zdaje się uważać i za objaw ciężkiej głupoty i za najwygodniejszą formę tchórzostwa myśli.

Mówię „zdaje się" dlatego tylko, że autor tej prawdziwej „księgi dżungli ludzkiej" na przestrzeni 660 stron ani razu nie wdaje się w moralizowanie, w rady lub przestrogi. Przy całem wyuzdaniu swej wyobraźni i rozwiązłości języka, Céline jest mistrzem sztuki pisarskiej i w swym gigantycznym filmie ani na chwilę nie przestaje być artystą-powieściopisarzem. Niema w nim nietylko ani krzty kaznodziei, lecz również nic z pisarza-publicysty.

To trzeba sobie zgóry powiedzieć, żeby nas zbytnio jego ekstrawagancje treści i formy nie „szokowały".

Sarkazm tego pogromcy wszelkich łgarstw w faktach, uczuciach i sądach, bądź nabytych dziedzicznie, bądź nakazanych przez różne „racje" aktualne, społeczne, patrjotyczne, obyczajowe i t. d. jest ostry jak nóż gilotyny. Ironja takiego Anatola France'a wobec ironji Z. F. Céline'a to niewinna jaszczurka ogrodowa wobec aligatora.

Niezawsze ten pisarz francuski, którego parantela duchowa to Rabelais, Villon, Verlaine (dwa cudne epizody liryczne, jedyne), a z obcych Swift i Cervantes — atakuje drwiną, persyflażem, szarżą. Czasem, gdy ludzka *vacherie* (którą tłomaczę jedynym według mnie słusznym odpowiednikiem: *draństwo)*, zbytnio mu krew wzburzy, mówi co myśli, pozytywnie, w najprostszej formie oskarżenia.

Oto np. słowa, wypowiedziane przez bohatera, studenta Bardamu, który z patrjotycznego entuzjazmu wstąpił na ochotnika do armji po wybuchu wojny światowej, o swym przełożonym (str. 31):

„Musieliśmy więc narażać się na zasadzki podczas idjotycznych nocy, następujących długim szeregiem, mając jedynie nadzieję, coraz mniej rozsądną, że wrócimy żywi, i tylko tę nadzieję, i jeszcze taką myśl, że jeżeli się wróci, nie zapomni się nigdy, absolutnie nigdy, że odkryło się na ziemi człowieka, wyglądającego jak wy i ja, ale bardziej łaknącego padliny, niż krokodyle i rekiny, co lawirują z rozwartą paszczą dokoła statków z odpadkami i ze zgniłym mięsem, które się wyrzuca na pełnem morzu".

I zaraz potem taka refleksja:

„Razem wziąwszy, największą klęską człowieka jest zapomnieć, a zwłaszcza to od czego się zdychało i zdycha, nie pojmując nigdy, do jakiego stopnia ludzie są szuje. Kiedy się będzie stało nad grobem, nie trzeba będzie robić złośliwca, ale też nie trzeba będzie zapominać, trzeba będzie opowiedzieć wszystko, nie zmieniając ani jednego słowa z tego, co się widziało najbardziej występnego u ludzi, a potem milczeć i zejść do mogiły".

Szczęściem Céline, nie mający jeszcze 40 lat, nietylko nie milczy, wyrzuciwszy z siebie wulkan przeżyć w swej pierwszej powieści, lecz oto już wydał nową rzecz, komedję w 5 aktach p. t. „L'Eglise", którą jego nakładca nadesłał mi w tych dniach z Paryża, jak wieść niesie, pomimo niebywałego sukcesu „Voyage au bout de la nuit" odrzuconą przez wszystkie teatry francuskie. Jeszcze jej nie czytałem, lecz wyobrażam sobie, co to musi być za nabój ekrazytu, ta *komedja* p. t. „Kościół"!

Ale widzę, zanadto odbiegłem od przedmiotu. Miałem mówić o potędze komizmu w „Podróży do kresu nocy". Udowodnić tę *vis comica* należałoby na przykładach. Trudne zadanie, gdyż tysiąc wierszy „Epoki" nie starczyłoby na cytaty ze wszystkich terenów tej toczącej się w szalonem tempie akcji: na froncie we Flandrji, na tyłach w Paryżu, w Afryce Centralnej, w New-Yorku, w Detroit, pod Paryżem, w Tuluzie i wreszcie znowu pod Paryżem i w samej stolicy Francji.

Pozatem komizm Céline'a ujawnia się często w pointach — cały więc smak ich przepada lub zgoła się nie ujawnia, gdy się nie zna poprzedzającej je treści.

Z drukowanego w „Epoce" swego czasu fragmentu p. t. „Niedziela" czytelnicy mogli sobie już wyrobić pewne pojęcie o charakterze komizmu tego pisarza, choć nie mógł ten urywek zawierać oczywiście wszystkich odmian zjadliwego humoru, jakim autor wyposażył przedewszystkiem *rozmowy* bohatera z olbrzymią galerją postaci, z któremi zetknął się w swej kilkoletniej włóczędze i potem, osiadłszy już, jako lekarz, w kraju.

A najważniejszą przeszkodą do tych pokazów jest okoliczność, że wiele komicznych sytuacyj czy powiedzeń ze względu na ich drastyczność nie nadaje się do reprodukcji, w oderwaniu od całości, na łamach pisma o takim charakterze jak „Epoka". Im więcej ich sobie, jako tłumacz, przypominam, tem mniej znajduję takich, któreby się nadawały do przytoczenia.

Ale są, owszem. Przypominam sobie, śród wielu innych na ulubiony temat autora, chciwości i sknerstwa Francuzów, takie „aspekty" charakteru dyrektora zakładu dla obłąkanych, gdzie Bardamu jest asystentem prof. Barytona:

„Chorych mieliśmy w zakładzie na różne ceny, najzamożniejsi mieszkali w pokojach solidnie wy-

ścielanych w stylu Louis XV. Tych Baryton codziennie odwiedzał nakrótko, słono sobie licząc za tę wizytę. Oni czekali nań. Od czasu do czasu Baryton dostawał parę siarczystych policzków, prawdę mówiąc, straszliwych, długo premedytowanych. Natychmiast wnosił je do rachunku, do rubryki zabiegów specjalnych".

A nieco wcześniej:

„Słuchając rewelacyj o moich podróżach, Baryton doznawał nietylko romantycznego wzruszenia, lecz jeszcze uczucia, że robi oszczędności. „Gdy się pana słyszało, nie potrzebuje się już zwiedzać tych krajów, tak pan je dobrze maluje".

To są łagodne ukłócia w skórę chciwości francuskiej. Ale czasem Céline drze pasy z tej potwornej cechy swych rodaków, nie cofając się przed humorem makabrycznym, jak w scenie, gdy żona umierającego pacjenta domaga się, żeby Bardamu skłonił go jakoś do wyjęcia sztucznych zębów, bo są z masywnego złota — a chory oświadcza, że rzucił je do ustępu, co jest zresztą nieprawdą, tylko znając swą magnifikę, chce jej zrobić kawał i zabrać swe złote zęby do grobu. To się rozgrywa między ludźmi, którzy 40 lat ze sobą przeżyli!

Takich scen, gdzie element komiczny splata się z tragicznym w dławiącą pętlę ohydy natury ludzkiej, jest u Céline'a mnóstwo.

Niekiedy autor stwarza wielkie sceny, niesłychanie zabawne, bo ilustrujące nabranie nadętych obłudą figur przez skromnego cwaniaka.

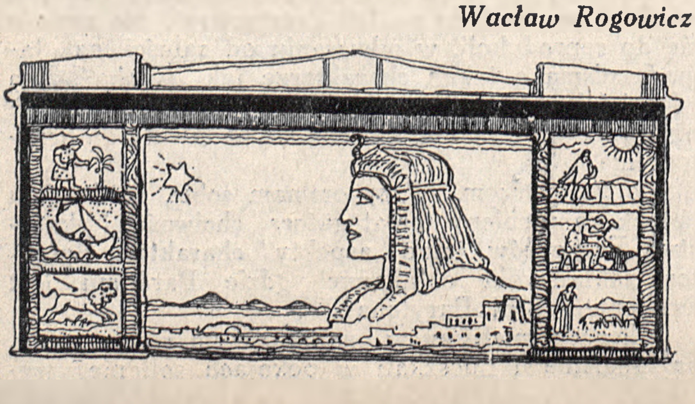
Taką niezapomnianą sceną, jedną z najpotężniej komicznych w całej powieści, jest uroczysty poranek w komedji francuskiej na jakiś cel patrjotyczno-wojenny, (między r. 1914 — 16 to się dzieje), gdzie nabity teatr słucha z zapartym tchem deklamowanych przez słynną artystkę wierszy, napisanych przez jej „przybocznego" poetę (zresztą pederastę) z opowiadań o bohaterskich czynach żołnierza (bohatera powieści) — od początku do końca *zełganych...* w celu zapewnienia sobie lepszych warunków pobytu w szpitalu na obserwacji, gdzie się dekuje.

To ośmieszanie wszystkiego co fałszywe, patetyczne, dęte, chytre, a wzniosłemi frazesami bezczelnie zamaskowane, sprawia — to się czuje — wielką ulgę autorowi.

Bez niej trudnoby sobie wyobrazić, jak wyraziciel jego myśli — Bardamu mógłby znieść życie, mając taką przenikliwą świadomość otaczającej go zewsząd ohydy.

Ten „cynizm", który jest tylko klapą bezpieczeństwa, chroniącą przed uduszeniem się w wyziewach tryumfującego drańswa, raduje go i jemu zawdzięczamy powstanie takiego znakomitego dzieła — protestu przeciw współczesności, jakim jest „Podróż do kresu nocy".

Wacław Rogowicz



POWIEŚĆ O EMIGRACJI

Niedawno, pisząc o powieści Bromfielda: „24 godziny", miałem możność stwierdzić, że literaci obcy górują nad naszymi umiejętnością budowy swoich dzieł. Jakby na potwierdzenie tego wpadła mi do rąk książka Jana Wiktora: „Wierzby nad Sekwaną"*). Akcja rozgrywa się we Francji wśród naszej emigracji ostatnich czasów. Autor zbadał rzecz gruntownie, przenikając do różnych środowisk, prowadzi też czytelnika przez całą nieomal Francję, zacząwszy od kopalni i wsi francuskiej, a skończywszy na spelunkach paryskich.

Zalety pióra Wiktora błyszczą w ostatniej powieści równie silnie, jak w poprzednich. Głęboka uczuciowość, przywiązanie do wsi naszego chłopa z jego surową, nieco pierwotną moralnością, doskonała i pełna miłość, obserwacja życia zwierząt — wszystko to składa się na dobrą powieść... A jednak do doskonałości brak jej konsekwentnej i mocnej budowy.

Bohaterem powieści jest Jędrek Połaniec — były żołnierz — człowiek prawy, zmuszony naszą starą, jak świat, polską biedą do poszukiwania pracy na obczyźnie. Wśród obcych warunków czuje się źle. Trochę przez lekkomyślność, więcej przez nostalgję i zupełną niemożność przystosowania się do innych, niezrozumiałych dla siebie zwyczajów stacza się coraz niżej. Z robotnika zamienia się na wagabundę, a wreszcie dostaje się do więzienia. Dla Francuzów jest tylko przestępcą — dla nas człowiekiem, który nie mógł znieść poniewierania bliźnim. Prawo ukarze go najsurowiej — my, zarówno z punktu widzenia polskiego, jak i ogólno-ludzkiego — rozgrzeszymy go.

Niemal z tych samych przyczyn spada w hierarchji społecznej jego była narzeczona Józka, która, uciekłszy od okrutnika ojca, emigruje do Francji. Zaczyna jako robotnica, aby, przeszedłszy przez prostytucję, zyskać spokój w roli żony murzyna. Ironja losu chce, że ci dwoje nic nie wiedzą o sobie i spotykają się dopiero wówczas, gdy już sprawiedliwość wyciąga ręce po Jędrka, aby go zakuć w kajdany i odprowadzić do więzienia.

Akcja ta — jak widzimy, dość nikła — zajmuje dwa grube tomy. Wszystko koncentruje się wokół obu czołowych postaci, ale, niestety, powieści brak szkieletu, jakim dla każdego dzieła jest konsekwentna budowa. Drugoplanowe osoby zjawiają się i nikną, akcja nieraz zatrzymuje się na miejscu, lub toczy ledwie dostrzegalnie i właściwie powieść stanowi jedynie zbiór uczuciowych reportaży o pracy i warunkach egzystencji naszej ekonomicznej emigracji we Francji. Że te reportaże są świetne, pełne bystrych obserwacyj i głębokich nieraz refleksyj — nie potrzeba o tem zapewniać, bo nazwisko Wiktora mówi samo za siebie. Pod względem społecznym powieść również spełnia swe zadanie, ukazując niedolę emigrantów. Czytelnik ma jednak żal do autora, że przy tak rzetelnych zdolnościach, nie zdobył się na mocną budowę, któraby jego dzieło postawiła w rzędzie powieści o nieprzemijającej wartości.

Jan Waśniewski.

*) *Jan Wiktor.* Wierzby nad Sekwaną. Wyd. „Roju". Warszawa, 1933.

KONKURS NA »PAMIĘTNIK CHŁOPA«

Zamieszczamy poniżej odezwę Instytutu Gospodarstwa Społecznego o konkursie na pamiętnik chłopa, mając nadewszystko na względzie liczną wśród czytelników *Epoki* grupę nauczycieli szkół powszechnych po wsiach najodleglejszych nawet krańców Rzeczypospolitej.

Nauczyciele szkół wiejskich mają bliski kontakt z ludnością. Sądzimy więc, że numer *Epoki* z konkursem na pamiętnik chłopa obiegnie sporo domów wiejskich i zachęci niejednego do uczestniczenia w konkursie. Niechaj nauczyciele i kierownicy szkół zechcą przyjść z pomocą inicjatywie Instytutu Gospodarstwa Społecznego, który w wydanych już „Pamiętnikach bezrobotnych" dał społecznej literaturze polskiej dzieło o wartości niepospolitej. Pomoc ta może się wyrazić w uświadamianiu ludności wiejskiej o celach konkursu, o znaczeniu tego rodzaju badań, a również — w dostarczeniu pragnącym pisać „pamiętnik chłopa" — ołówka, pióra, atramentu, papieru i przedmiotów, na których kupno nie łatwo się dziś zdobyć może włościanin.

Środowisko proletarjatu miast, w znacznej mierze dzięki wysiłkom tegoż Instytutu, było już niejednokrotnie przedmiotem badań. Badano warunki pracy robotnika, jego sytuację życiową, warunki mieszkaniowe, pracę dzieci, pracę kobiet w przemyśle, zagadnienia hygjeny i bezpieczeństwa pracy i t. d. Wieś dotychczas jeszcze pozostaje wielką nieznaną dla większości społeczeństwa. Należy skorzystać z inicjatywy Instytutu i jaknajwięcej zebrać materjałów o doli chłopa w Polsce współczesnej.

Oto treść odezwy Instytutu Gospodarstwa Społecznego:

„Ze wszystkich okolic Polski odzywają się głosy o bardzo ciężkiem położeniu ludności wiejskiej, zarówno osiadłej na roli i posiadającej warsztat pracy na własnym kawałku ziemi — ale warsztat który nie daje dziś dostatecznego utrzymania, jako i ludności bezrolnej, która przez lata ubiegłe wychodziła ze wsi za pracą do miast lub zagranicę, a dziś wobec ciężkiego położenia zarówno w kraju, jak i w całym świecie, wraca do wiosek rodzimych, tam nie znajduje zarobku, a tylko czeka ją nędza.

Instytut Gospodarstwa Społecznego powziął zamiar opracowania rzetelnego obrazu tego ciężkiego położenia ludności małorolnej i bezrolnej w całej Polsce. Dlatego zwraca się do was wszystkich, co stanowicie te liczne rzesze biedujących i zrozpaczonych, rozproszone wzdłuż i wszerz naszego kraju, abyście ściśle, prawdziwie i poprostu opisali jak żyjecie, jakiego wyjścia szukacie. Więc piszcie i opowiadajcie! Nie opuszczajcie żadnego szczegółu nawet najdrobniejszego ze swych biedowań, ze swoich trosk, ze swoich doświadczeń. Nie zrażajcie się, że może opowieść wasza wychodzi niekształtna, byleby tylko była rzetelna; nie wstydźcie się tego coście przeżyli aby pokazać cały swój ciężki los i tym opisem wywołać zajęcie się waszem położeniem. Opowiadajcie śmiało, co według waszego sądu najbardziej wpłynęło na waszą biedę dzisiejszą, co najsilniej przyczyniło się do wzrostu waszych trosk i co wam najbardziej daje się we znaki i najciężej leży na sercu.

A więc opowiedzcie nam w jakich warunkach przyszliście na świat, czy w rodzinie zamożniejszej, czy w zupełnej biedzie, czy sami posiadacie kawałek ziemi i ile, a może nie macie ani piędzi gruntu własnego i w całej pełni jesteście bezrolni, czy ten wasz grunt odziedziczyliście po ojcach czy nabyliście sami, a jeśli odziedziczyliście to czy była wasza rodzina liczniejsza i jak ziemię podzielono pomiędzy wasze rodzeństwo, jakie były spłaty i zmartwienia, związane z temi spłatami; a jeśli ziemia wasza jest nabyta— piszcie na jakich warunkach ją nabyliście, jakie kłopoty macie z nią jeszcze.

O tych kłopotach piszcie drobiazgowo, nic nie pomijając; jeżeli macie ziemię, jakie jest jej obdłużenie oraz komu i jakie płacicie procenty i ile, a także jakie są inne ciężary, które przypadają na wasz warsztat rolny i dolegają wam.

Czy mieszkacie w swojej własnej chacie, czy w cudzej, jakie są wasze zabudowania, ile macie i jakiego inwentarza? Czy liczna jest wasza rodzina i co wam żona wniosła do domu? Jak spędzacie czas, kiedy nie macie żadnego zajęcia zarobkowego, ani nie krzątacie się około gospodarstwa? Czy kształcicie dzieci? Czy wasza ziemia daje wam jaki dochód poza wyżywieniem rodziny, jakie towary rękodzielnicze i fabryczne musicie kupować i jakie z tych towarów przedewszystkiem pragnęlibyście kupić? Czy robicie w gospodarstwie swojem jakiekolwiek meljoracje, remont? Czy macie jakieś udziały w stowarzyszeniach, czy możecie kupić książkę i gazety? A jeżeli macie jaką pracę zarobkową poza gospodarstwem, opowiedzcie o niej jaka to jest praca, gdzie się odbywa i ile wam daje dochodu? Opiszcie nam własne mieszkanie ze wszelkiemi urządzeniami, ilu was tam mieszka razem, jak się żywicie, jak ubieracie, czy jest jakiś podział pracy pomiędzy wami w gospodarstwie i w domu? Jaki jest stan zdrowia w waszej rodzinie i z jakiej korzystacie pomocy lekarskiej w czasie choroby?

Sięgnijcie także pamięcią w przeszłość swoją, jaki był stan waszego warsztatu rolnego przed wojną i jaki jest obecnie, a jeżeli żyliście jedynie z zarobków, jakie były one? A gdy jesteście bezrolnym, opowiedzcie nam czy mieszkacie we własnej chacie, czy odnajmujecie izbę, a może tylko kąt u obcych ludzi, lub znaleźliście miejsce przy swojej rodzinie, a opowiadając o tem postarajcie się porównać w swoim opisie, jaki jest dzisiaj poziom życia i potrzeb człowieka pracy na wsi, zarówno małorolnego jak i bezrolnego w porównaniu z tem, jak to było w czasie przedwojennym. A może któryś z was posiada w ręku jakiś fach, np. ciesielkę, kowalstwo, szewctwo? Wogóle niech bezrolny pisze z jakiej pracy się utrzymuje, ile zarabia, czy kiedykolwiek wychodził ze wsi i dokąd, gdzie pracował, kiedy i dlaczego powrócił? Jakie macie widoki na najbliższą przyszłość dla siebie i swojej rodziny?

A także nie zapomnijcie dodać, czy macie jakie zabezpieczenie na starość, czy ktoś z członków waszej rodziny uczestniczy w gospodarce parafjalnej, gminnej, powiatowej, w jakimś związku, stowarzyszeniu, kooperatywie?

Każdy z was kto chce przyczynić się do stworzenia takiego obrazu nędzy w swojej wiosce i chce powiedzieć społeczeństwu jak żyje dzisiaj w Polsce chłop bez roli i chłop na niedostatecznym kawałku gruntu, niech robi taką spowiedź z życia swego, taki opis swego zmagania się z biedą i prześle do dnia 1 grudnia 1933 roku pod adresem:

Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie Warszawa, ulica Czerwonego Krzyża 20.

Jeszcze raz powtarzamy: piszcie szczerze, od serca, tak jakbyście opowiadali troski swoje najbliższemu przyjacielowi i nie sądźcie, że to ma być jakaś statystyka, jakiś spis urzędowy, mający służyć w przyszłości do obliczeń podatkowych. Nam, którzy się do was zwracamy chodzi o co innego. Nadesłane przez was obszerne, szczere, rzetelne opisy, pamiętniki, opowiadania o waszem własnem życiu będą wydrukowane w wydaniu zbiorowem i dadzą tam wierny obraz dzisiejszego położenia ludzi, pracujących na roli i żyjących we wioskach polskich.

Taki obraz jest potrzebny i pożądany, aby w społeczeństwie inni ludzie wiedzieli, jaka tam nędza trapi tych, co w pocie czoła pracują na swojej roli, nie dojadając z dziećmi, lub żądni zarobku daremnie go poszukują w chwili dzisiejszej.

Wasze opisy będzie rozpatrywało parę osób, którym na sercu leży los pracownika polskiego, borykającego się z losem swoim na wsi, i przysądzi dobrym opisom nagrody. Najlepsza praca otrzyma 100 złotych nagrody, dwie następne — po 50 złotych, jeszcze dalsze osiem po 25 złotych".

DOLA LEKARZA WIEJSKIEGO

Do niedawna wśród pracowników wolnych zawodów — lekarzy i adwokatów — nie słyszało się narzekań. Praca ich pozbawiona była wielkich trosk i smutków w walce o byt codzienny. Zczasem i w tej dziedzinie życia zaszły zmiany, jako nieunikniony skutek nienormalnego układu stosunków społecznych.

Prawnicy — zmuszeni koniecznością — „przenieśli się" do pokrewnych swoim kwalifikacjom instytucyj: samorządów, izb skarbowych, administracji, ale gorzej jest z medykami, którzy „kątem" rozpoczęli zawodową wegetację. Wielu z młodych lekarzy zamiast do właściwych warsztatów swej pracy — klinik i szpitali — musiało zjechać do domu w rodzinne strony i poddać się nużącemu, wyczerpującemu siły procesowi wyczekiwania. Wielu z nich przecież pochodzi z małych miasteczek i wsi. Po studjach, znalazłszy się na prowincji — nie może młody lekarz siedzieć zupełnie bezczynnie. Dla człowieka inteligentnego bezczynność jest stanem nie do zniesienia. Poza pracą w organizacjach lokalnych, szerzących oświatę i kulturę w szerokich masach — wykonywa w prymitywnych warunkach także pracę w swoim zawodzie.

Tu rozpoczyna się tragedja. Zdala od większego środowiska ludzi, przy kompletnym braku odpowiednich narzędzi technicznych, pozbawiony współczesnej lektury i prasy zawodowej, odcięty od życia — pędzi zatracony żywot biedny lekarz na wsi. Warunki pracy okropne. Atmosfera i nastawienie psychiczne wobec reprezentanta wiedzy i nauki lekarskiej nie pozwalają wydatnie pracować: podcinają najszlachetniejsze myśli, niweczą w zarodku humanitarne wysiłki i poczynania.

Wieś ma słabe zaufanie do lekarzy. Doktora wzywa się w chwili ostatecznej, gdy raczej ksiądz z olejami — o ile kto uważa to za stosowne — winien się zjawić. W pierwszem stadjum choroby — najpierw przybywa z radą przysłowiowa „babka". Ta odbywa swoje praktyki z zaklinaniem, odżegnywaniem, paleniem ziół święconych, okadzaniem — słowem, całym balastem niepotrzebnych zabiegów, które nigdy chorego nie uzdrawiają, a zawsze pogarszają jego stan chorobowy. Po „babce", o ile chory nie zmarł, consilium rodzinne przy naradzie kumoszek i „życzliwie" usposobionych osób — wydaje orzeczenie, że chory musi być odwieziony do znachora, czy znachorki. Znachorzy — w pojęciu ludu wiejskiego — są to cudowni uzdrawiacze. Tu, w brudnej izbie szalbierza, zaczyna się dla nieoświeconego, zacofanego chłopka — prawdziwa medycyna. Znachorzy są dziś bardzo liczni. Niestety — u niektórych z nich są formalne ogonki, gdy lekarz napróżno wyczekuje pacjentów. Znachorzy są istną plagą naszych czasów. Operują środkami szkodliwemi, nie przestrzegają koniecznych zasad higjeny — w dużej mierze przyczyniają się do powiększenia śmiertelności. Istnieją przeciwko nim przepisy, z których lekarze robią użytek dla swej obrony, jednak akcja ta jest niczem w porównaniu z „świętą wiarą" ludu w znachorów oraz ich „moc i siłę nadziemską".

Badanie znachora ogranicza się tylko do stereotypowego zlustrowania kału i moczu delikwenta, po której to czynności wyrokuje o terminie wyzdrowienia lub śmierci chorego. Po odbyciu tych dwóch kolejnych „zabiegów" — o ile chory zostaje przy życiu — decyzja rodzinnego sejmu zmienia się: teraz udają się do lekarza, aby on coś pomógł. Oczywiście, w tych wypadkach, jeśli chory z dyletanckich rad nie korzystał, często można go wyleczyć. Jednak — co może uczynić lekarz wówczas, gdy wtedy, kiedy chorego należało skierować do doktora — operowały biedaka niepowołane ręce „babki" lub dobijały fatalne praktyki znachora?

Ciężka jest praca lekarza na wsi. W dodatku biada mu, jeśli choć raz chorego nie uzdrowi. Wszyscy mają wtedy do niego wielki żal i pretensje.

Lekarz, który z przymusu odbywa pracę na wsi — ma również inne udręki. Na wsi, będąc w osamotnieniu, pozbawiony towarzystwa, żywego słowa, teatru, często bez dobrej książki, nie wie, co się na świecie dzieje — i pędzi pustelniczy żywot samotnika. Wieś dobra jest latem. Ale dla tego człowieka, który musi przebywać w niej stale, gdy czuje się zdolnym do żywotniejszej, bardziej produktywnej pracy — wiedząc, że w innem środowisku więcej byłby przydatny — jest męczącem skazaniem, udręką i katuszą.

Gdyby chociaż lekarz miał tę wiarę, pewność i to przeświadczenie, że jego praca na wsi jest oceniona i należycie zrozumiana!... Niestety: mroki, pokrywające umysły naszej wsi, ubóstwo wiedzy i ciasnota poglądów czynią pracę ciężką, hamują jej postęp.

A jeśli silniejsze jednostki chcą przezwyciężyć zło, kroczą wśród przeciwności z niewysłowionym trudem: jak przez roztopy i zapadłe drogi.

Warunki osobistego życia lekarza w środowisku wiejskiem, a zwłaszcza młodego lekarza, są godne pożałowania i współczucia. W pierwszym rzędzie dokuczają braki natury intelektualnej. Skazany na życie wśród otoczenia, z którem nie łączą go żadne kulturalne węzły, ani zainteresowania — inteligentny człowiek, lekarz — dusi się pomiędzy przyziemnemi mózgami, zapomina poprawnej mowy, prostaczeje, zatraca się i gubi.

Znam lekarza, który jest już dwa lata po studjach, ma za sobą roczną praktykę, a zmuszony jest dulczyć na wsi. Jest on doskonałym przykładem przytoczonych tu spostrzeżeń.

Samopoczucie — o ile może człowiek przywykły do gwarnego życia zdawać sobie dokładnie sprawę w osamotnieniu z zachodzących w świecie zdarzeń — jest fatalne, gorzkie, jak piołun.

Zdarza się wprawdzie, że we wsi — zwłaszcza gminnej — jest trochę inteligentnego elementu. Pierwszą instancją jest miejscowy proboszcz. Wieczorem partja bridge'a, rozmowy ucieszne przy papierosach i herbacie — takby to wyglądało. Czasem nawet tak bywa. Ale młody lekarz rzadko kiedy żyje z' księdzem w zgodzie. Oczywiście nie ze względów politycznych, ale różnicy w idei zawodowej: lekarz ma na względzie dobro i zdrowie ciała, ksiądz — nominalnie — zdrowie duszy. Dla jednego kwestją pierwszej wagi jest najbardziej paląca sprawa lokalnej higjeny, śmiertelności, regulacji urodzeń, poradnia świadomego macierzyństwa — drugi zaś we wszystkiem tem widzi zakusy bolszewickie, upadek ducha, moralności, etyki, prądy masońskie, antyreligijność — wystarczające powody, sprowadzające walkę ambony ze społecznym działaczem. Kontakt więc na tej płaszczyźnie prawie zawsze zawodzi.

Dlatego też woli taki nowoczesny Judym trwać w swej wolnej samotni, niż bezproduktywnie staczać słowne utarczki. Pacjenci — o ile są, bo wieś woli znachora niż lekarza — są bardzo złymi płatnikami. Uważają, że lekarz „pan całą gębą", uczony — może żyć niebieską manną lub świeżem powietrzem, którego mu na wsi nie brak i wcale nie potrzebuje pieniędzy. Przeciwnie: winien darmo leczyć, bo „to" go nic nie kosztuje. — „Opuknie parę razy, trochę ucha nadstawi, w zęby zajrzy, język przyciśnie, mały papierek nagryzmoli i zaraz tyle pieniędzy chce brać". Targują się solidnie. Przy „ubijaniu" (dosłownie) ceny mocno atakują. Zwłaszcza, jeżeli lekarz ma ludzkie serce i nie potrafi być jednocześnie kupcem, wyrachowanym sprzedawcą swej wiedzy. Chłop tę miękkość wyczuje, umie utrafić i odnaleźć czuły punkt inteligenta, którego z lubością pragnie „nabrać". Wymyśla w tym celu historje ad hoc, wzbudzając litość. Gotów — jak nieprzygotowany do lekcji uczeń — najbliższe osoby uśmiercić dla powiększenia obrazu swej biedy; wywoła wszystkie nieszczęścia, żywiołowe klęski faktyczne i nigdy nie mające miejsca — byle zniżkę honorarjum uzyskać. I lekarz najczęściej ustępuje, opuszcza cenę i pobiera groszowe datki.

W jednym tylko wypadku lekarz nie ustępuje: gdy wie, że uprzednio pacjent udawał się do znachorów. Wtedy jest nieczuły na żadne skamlenia. Chłopi wiedzą o tem i w takim wypadku przy opłacaniu wizyty mówią: „To dlatego tyle każe pan doktór płacić, że byłem u znachora". Lekarz potwierdza, winowajca płaci. Lecz i w tych wypadkach są to mniejsze sumy, niż wygórowane taksy znachorskie.

Często współżyje lekarz z pokrewną sobie duszą, równie jak on pokutującą na wsi za niczyje grzechy. Łączą swoją dolę i niedolę. Tak lekarz i nauczyciel wiejski dochodzą do porozumienia. Nauczyciel wiejski ma jeszcze gorszą dolę — więcej ma do pokonania trudności w swym pracowitym żywocie, bardziej jest zależny od wielu czynników i więcej pochłonięty jednostronną pracą zawodową. Lekarz i nauczyciel na wsi nie mają życia, usłanego różami.

Zdzisław Pruski.

REPORTAŻ Z WIĘZIENIA

V.

USZKODZENIE CIAŁA

Surowa, uboga natura na kresach — mało daje ludziom okazji do radości. To też każda okazja musi być tu dokładnie wyzyskana. Wesele np. w wielu powiatach nie może się odbyć, jeśli niema naszykowanych 100 butelek wódki. Najuboższy gospodarz musi się o to postarać. Opinja przebaczy mu, jeśli nie da w wianie córce krowy — braku dostatecznej ilości wódki dla gości na 3-dniowem weselu — nie darowanoby mu nigdy. To też piją na weselach na umór. Piją chłopcy młodzi, pić jeszcze niezwyczajni. Upijają się też prędko i zabawa trwa dalej, choć uczestnicy jej już sprawy sobie z tego, co czynią, nie zdają. A i do kryminału przybywają nowi lokatorzy.

„Za co siedzicie?" — „Ot, zwykła rzecz, ciężkie uszkodzenie... na weselu". Grał chłopak na harmonji do tańca na bogatem weselisku.

Pito co niemiara. A do grajka każdy chętnie przepijał. Nie dziwota, że niebawem melodyjna harmonja zaczęła wydawać niesamowite jęki, a palce chłopca bezradnie się po klawiszach plątały. Trudno się też dziwić, że ta muzyka jakiemuś drużbie przestała się podobać. Coś zaczął w niej ostro krytykować. Artysta nie ścierpiał głosu profana. Wyrżnął. Czem? już nie pamięta. Żelaznym garnkiem czy własną harmonją. Dość, że była w robocie policja.

Jeden do szpitala — drugi do kryminału. Sąd. Ciężkie uszkodzenie ciała. Rok więzienia. „Żałujesz, żeś to zrobił?" „A czego, jucha, pyskuje — kiedy samby lepiej nie zagrał!"

AWANS

W więzieniu znamy 3 rodzaje widzeń. „Osobiste", „jasne" i „zwykłe". „Osobiste" — to takie, kiedy się po ludzku siedzi w pokoju z odwiedzającym cię gościem i gada. Ktoś z administracji lub dozorca asystuje przy rozmowie. Takie widzenia otrzymywałem w drodze wyjątku lub kiedy odwiedzającym była jakaś ważniejsza figura. Przy widzeniu „jasnem" gada się z odwiedzającym przez duży otwór w ścianie, przy którym stoi stół, a przy stole dozorca. Przypomina to trochę bar. Takie widzenia wywalczyli sobie ongiś komuniści. Zwykłe widzenia odbywają się przez takiż otwór w ścianie, tylko że zasłonięty podwójną gęstą siatką. Jak w menażerji. Miałem początkowo podczas śledztwa tylko takie. Czułem, że jedna z odwiedzających mnie pań miała ochotę podrażnić mnie parasolką przez kratę — inne widocznie żałowały, że nie zabrały dla mnie do torebki cukru kostkowego. Gdym o tem coś powiedział, starszy dozorca wystarał się o widzenia „jasne" dla mnie.

OFIARA

Kierownik samodzielnej rządowej instytucji o charakterze gospodarczym. Niesłychanie pracowity, trochę popędliwy, przez co wyrobił sobie sporo wrogów. Postanowili go „położyć". Zobaczyli, że w zimie kupił sobie raz kilo pomidorów. Znaczy kradnie! 9 lat służby — cały czas kradnie. Zaczęli węszyć i szperać. Łapali wszystkie pozory. Ot np. od 1½ roku mierząc kubełkiem węgiel, liczy go 42 kilo. A przez 7 lat — ten sam kubełek liczył 50 kilo. Czyli jasne, że 7 lat kradł po 8 kilo na kubełku: ukradł 7 wagonów! Skonstruowano oskarżenie z 73 punktów na ogólną sumę 40.000 zł.! Chłop, jak się dowiedział — oszalał! Chciał zastrzelić ciotkę, siebie, spalił papiery, bynajmniej go nie kompromitujące, jak paszport i metryka... ciotki! Na tydzień do szpitala — potem w kajdanach do sędziego śledczego. Tam — ten warjat — przyznał się do wszystkiego. „To pan przywłaszczył sobie te pieniądze" pyta sędzia. „Nie, panie sędzio, ukradłem" — „No tak — ja napiszę, że Pan przywłaszczył sobie". — „Nie! P. sędzio, proszę pisać „ukradł". I tak wszystkie 73 punkty.

Wsadzili do naszej celi. Z początku — zupełnie warjat — melancholik. Po kilku tygodniach doszedł do normy. Tymczasem, po miesiącu śledztwa inkryminowana suma spadła do 15.000 (stwierdzono że kubełek do węgla był 1½ roku temu przerobiony). po 3 miesiącach oskarżono tylko o 4.000 zł. — po 4-ch miesiącach — 800 zł., po 4½ mies. tylko o 97 zł. 50 gr. (Reparacja nieformalna rządowej bryczki, którą jeździł jego szef!).

Chłopa wypuścili. Ale kto, kiedy, jak i czem mu zapłaci za jego nadludzką mękę.

NUDA

Sam — nie nudzę się nigdy! W braku lepszego zajęcia rozmyślam sobie o tem i owem. Znam jednak nudę jako coś, czem mnie kochani bliźni torturują.

W kryminale mamy odmianę współżycia kilku osobników w jednej celi, współżycia bez żadnego doboru naturalnego, bez jakichkolwiek stron dodatnich, a ze wszystkiemi ujemnemi. Tu nuda na trzeci — czwarty dzień — wchodzi w niepodzielne panowanie. Najstraszniejszym dwunogiem na świecie jest poza wszelką wątpliwością — towarzysz z celi więziennej. Niech to będzie człowiek kulturalny, inteligentny, miły — po tygodniu zaczyna się z nim straszliwa nuda. Gdy osobnik tych przedmiotów pozbawiony — nuda zaczyna się na drugi dzień. Wolę 5 lat jasnej i ciepłej pojedynki z książkami, piórem i papierem— niż 2 lata wspólnej celi. I trudno to wytłomaczyć: dozorca wpuszcza nowego gościa z najżyczliwszym z uśmiechów. „Będzie Panom weselej" — i nie czuje poczciwiec, że ja mu w tej chwili, przy całej sympatji, życzę jaknajcięższego skonania! To trudno — powtarzam — wyjaśnić. Ot naprzykład. Siedzimy we czterech. X poszedł do kancelarji, K. czyta książkę, T. leży na siennikach. Spokojnie zupełnie, jeno z kuźni pod nami słychać uderzenia młota a z korytarza dochodzą aforyzmy dozorcy w rodzaju: „Wyjdziesz, ty byku, raz z tego wychodka". Jak na więzienie — spokój idealny.

Biorę bardzo ciekawą książkę Kucharzewskiego („Od Białego do Czerwonego caratu") i chcę czytać. Ale kolega T. na swojem łożu zaczyna się przewracać i postękiwać cichutko. Ja już wiem, co to znaczy; on nie ma ognia, a chciałby zapalić — chce jednak wykazać swą delikatność, nie chce mi przeszkadzać. To zaczyna mnie korcić. Wkońcu, choć mi się palić nie chciało — zapalam. I już przewiduję, że za chwilę T. zwlecze się, będzie długo kręcił papierosa — wkońcu powie nieunikniony „dowcip": „Można ogońka" i przypalając trochę trzęsącemi się łapami, będzie mi 2 minuty parzył rękę węgielkami z machorki.

Znów biorę się do czytania. I choć patrzę na litery — czuję, że temu drabowi nie będzie się chciało wyciągać rękę do popielniczki. Rzeczywiście: słyszę jak strzepuje popiół na podłogę. To mnie drażni nieludzko! Nie mogę czytać. Wkońcu ten wypalił i ja ze trzy strony przeczytałem. Wtem, ten się znów podnosi i siada na siennikach. I ja już wiem, bo ze 300 razy było to samo. Zeskoczy z nar, powie: „No, trzeba trochę pochodzić" i zaczyna chodzić po przekątnej celi. 5 kroków, z czego 3 po środku mocniejsze, pewniejsze — początkowy i końcowy — krótsze i lżejsze. Znam już dźwięk każdego kroku jego. I trudno wyjaśnić, wielebym w tej chwili dał za to, żeby on albo zaczął chodzić, nie wypowiadając sakramentalnej zapowiedzi, albo — zapowiedział i nie chodził, żeby zrobił cośkolwiek, czego nie przewiduję, jakiś drobiazg, ale kompletnie nieznany.

Ten chodzi — K. odłożył książkę, zaczął pocichutku nucić: „Wołga, Wołga — mat' rodnaja". Porządnie fałszuje, przytem zna tylko tę jedną zwrotkę, więc ją powtarza. Nerwy we mnie szaleją. Przestaję czytać i liczę, wiele razy też on powtórzy tę nieszczęsną zwrotkę. Liczę 17... 19... 23.

Czuję nieludzkie wprost pragnienie wyrżnąć czemś ciężkiem i twardem w ten łeb obrzydły. Zamilknie wtedy! Ale wystarcza moje trochę nerwowe poruszanie się — zrozumiał, że mi przeszkadza. Zamilkł ale zasępił się i zamyślił. Za chwilę słyszę, że ciężko, bardzo ciężko westchnął. I robi mi się szalenie żal człowieka. Oto sobie człek coś nucił, widać sobie przypominał lepsze czasy w Rosji, — marzył, było mu dobrze. Teraz myśli o sprawie, wzdycha i cierpi. Znam dobrze jego nadludzkie wprost cierpienie. I robi mi się tak szalenie przykro, że rzucam książkę i zaczynam gadać, żeby trochę go rozerwać. Tamten przestaje chodzić — i gadamy rzeczy już ze 20 razy obgadane.

Rezultat trzygodzinnego siedzenia nad b. ciekawą książką: 4 strony przeczytałem, ale nic, kompletnie nic w głowie nie zostało. Wraca X. A ja zaczynam się zgóry opanowywać, bo wiem napewno, że on po obiedzie po sobie nie sprzątnie, nie zmiecie okruchów nie umyje miski. Wiem, że nie zrobię mu o to awantury, choć to mnie rozjuszy, ale ukłuję go bardzo demonstracyjnem sprzątaniem po nim. Z tym człowiekiem i o te drobiazgi — znienawidziliśmy się tak, że cztery miesiące nie rozmawialiśmy ze sobą. Potem nienawiść w nas wygasła tak nagle i bez rozumnego powodu — jak nagle i z głupstw powstała. Więzienna nuda rodzi nienawiść i to jakąś podwójną. Nienawidzi się nietylko kogoś, za to, że nudzi i drażni, ale i siebie się nienawidzi za to, że się tak kogoś nienawidzieć potrafi.

Wolna indywidualność jednostki kończy się tam, gdzie się zaczyna wolna indywidualność innej, bratniej jednostki. W celi więziennej jest tak ciasno, iż ludzie mimowoli nic innego nie czynią, tylko sobie nawzajem po swoich indywidualnościach depczą. To rodzi bezbrzeżną nudę — a ta — czasem zwierzęcą nienawiść. To jest tu najprzykrzejsze!

Błogosławiona bądź więzienna samotności! *N. N.*

Z TEJ I Z TAMTEJ STRONY KONTUARU

— A może szyneczki? Bardzo świetna szynka... Wszyscy sobie ogromnie chwalą.

— Nie, dziękuję. Wolę przyjść później, albo zaczekać.

— Ależ, owszem, może pani spocznie.

„Spoczywać" coprawda niema gdzie, bo nieduża przestrzeń sklepiku jest tak wypełniona ludźmi, jak przedział pociągu podmiejskiego w lecie, a na jedynem, wciśniętem w kąt, kulawem krzesełku ktoś postawił koszyk i pora się ze swemi „sprawunkami".

Właściwie nie jest tak, jak w wagonie, bo jedne wychodzą, drugie wchodzą, ale ciasnota taka sama.

— Wczoraj ćwierć kilo mąki, pół kilo kartofli, dziesięć deko sera i ćwierć mydła.

— Ten chleb niewypieczony.

— O, taka mała kapusta trzydzieści groszy!

Panna Kazia jest cierpliwa i uprzejma: trochę po kupiecku, a trochę po ludzku.

— Bo to ja się, proszę pani, nie potrzebuję chwalić, ale do mnie klijentki z Dobrej ulicy przychodzą. A jedna, co się przeprowadziła — to nawet z Krakowskiego Przedmieścia.

— Panno Kaziu, proszę o rachunek. Przez tę moją chorobę wszystko mi się pokiełbasiło, a choć tam i mąż mi mówił co i jak, ale... pani wie, jak to mężczyzna: łap — cap i tyle wiem!

Żmudne poszukiwania w stosie przybrudzonych karteczek, wiszących na gwoździu przy drzwiach — dwie głowy naprzeciw siebie pochylone nad kontuarem i — rachunek sprawdzony.

— Już teraz nie będziem brać na kredę. Mąż dostał robotę. Na jak długo niewiadomo, ale zawsze... Bo jak widzę swoją karteczkę u pani na gwoździu, to jakby tam moje serce gwoździem przebite wisiało.

„Klijentka" mówi straszne słowa, ale uśmiecha wesoło, „załatwia sprawę i żegna".

Prawie jednocześnie wychodzą jeszcze dwie, potem jedna, a jeszcze potem trzy. Ostatnia zostaje. Widocznie czeka na coś. Policzki młodej jeszcze twarzy wpadnięte skutkiem braku bocznych zębów, usta zacięte.

— Pani wszystkim daje na kredyt?

— Wszystkim nie wszystkim... Zresztą prawie wszystkim. Co mam robić?

— A oddają?

— Zależy do klijentki: jak porządna, to odda zaraz kiedy tylko ma, a niektóra znowu nabierze na trzydzieści i na pięćdziesiąt złotych, a jak zarobi ona, albo mąż, to się o byle co obraża i obchodzi mój sklep, jakby był zapowietrzony. Tylko, że od nas ze schodków całą prawie ulicę widać, to czasem tak się kręcą, aż śmiech bierze...

— A wtedy co? Już więcej pani takiej dłużniczce nie daje?

— Ależ owszem. Czemu nie? Przeprosi się: da trochę akonto, a potem znów w kółko. A przecie wolę, żebym ja miała u nich pieniądze, niż kto inny. A po drugie gdzie pójdą?... — tu panna Kazia zniża głos — Ja, broń Boże, nie obmawiam, ale wszystkie widzą, że Nowakowa nie doważa, a u Salci brudno.

Ładne oczy ułomnej panny Kazi błyszczą dumnym triumfem.

— A niejedna, proszę pani, to tak przyjdzie za niczem, aby porozmawiać, użalić się, albo i pochwalić — kończy w poufnym szepcie.

Panna Kazia jest wogóle zadziwiająca: potrafi jednocześnie mówić, zawijać paczki, odważać, wydawać resztę, zawieszać kartki na gwoździu i jeszcze raz mówić. Ale w tej akurat chwili tylko mówi. Ma czas: jest południe, mało kto wpada o tej porze do sklepu.

— Pani Zajączkowska, pani czeka na żytnią mąkę? Zaraz dziewczyna przyniesie.

— Nie śpieszy mi się — odpowiada ze sztuczną niedbałością osoba o zapadniętych policzkach. — Chłopaki z samego rana poszły na ryby, a mąż śpi. A niechby tam spał do wieczora: później wstanie, to później będzie wołał „jeść".

Milczenie.

— O dług niech się panna Kazia nie boi: przyjadą ci z letniska, co mam u nich posługę, to oddam.

— Ech, ja się o nic nie boję. Wiem, że u pani, to jak w banku — uśmiecha trochę nieszczerze panna Kazia. — A tego... a cóż tam mąż?... nic mu się nie szykuje?...

— A jakże! Szykuje mu się... chyba na księżycu... Tyle, że go kiedyś węglarz zawołał do noszenia węgla... Dostalim wtedy za to pełen koszyk, ale... Widziała pani: majster giserski węgiel nosi, a paska na brzuchu zaciąga... he!

Nagle w sklepiku robi się elegancko, wyniośle i zaondulowanie. Osoba nowoprzybyła dobitnie żąda cukru, pewnemi ruchami ugniata bułki i gmera w kalafjorach.

Nie dostrzega nikogo, ale wszyscy obecni doskonale widzą głęboką bruzdę między podczernionemi brwiami, czarne oczy, kąty ust, opuszczone nito wzgardliwe, nito boleśnie... Pani Zajączkowska zacina wargi bardziej jeszcze i szybkiem babskiem spojrzeniem wchłania zielony szydełkowy szal z frendzlą z „lacetu" i długą czarną suknię w różowe kwiaty.

Nowoprzybyła płaci gotówką.

Wychodzi, ale zaraz wraca i mówi z ledwie dostrzegalnem wahaniem:

— Zapomniałam... tytoniu. Najprzedniejszy...

— Proszę.

— Dowidzenia.

— Dowidzenia pani.

Pani Zajączkowska wybucha długo powstrzymywanym potokiem słów.

— A to dopiero! A to dopiero pani — pani przodownikowa! Kalafjorki zajada, a jeszcze przebiera... Że też pani pozwala każdemu wszystkiego dotykać.

— Przecież ma czyste ręce — wtrąca pojednawczo właścicielka sklepu.

— Ano, pewnie, że czyste. Czy to co sobota nie chodzi do manikury? Mówię pani, że jak się komu nie chce jeść, to już sam nie wie, co ma z sobą robić. Ale... Pani przodownikowa! A co pani myśli, że dla kogo ona ten tytoń kupowała. Przecie nie dla starego, bo Kubasiewicz nie pali: dla Geniusia swojego, co go schowali, tam gdzie darmo dają mieszkanie, wikt i opierunek...

— Ee — dziwi się zgorszona panna Kazia.

— Mówię pani pod słowem.

— A cóż on mógł zrobić: taki porządny chłopiec.

No, no! W tym roku miał przecież uniwersytet kończyć.

— Ano, właśnie. Co to nie było: „Mój Genio będzie doktorem, mój Stefuś przejdzie na piątkach do ósmej klasy"... Ojej! A tymczasem Geniuś tak się urządził, że mamusia w tajemnicy przed tatusiem musi mu paczki wysyłać (bo musi pani wiedzieć, że stary Kubasiewicz wyparł się synków). A Stefusia zredukowali w barze, gdzie dotąd grywał w orkiestrze.

— No, ale z Genkiem to dziwna sprawa. Cóż on zrobił?

— Ano, mówię pani, że jak kto nie głodny, to sam nie wie, czego ma chcieć: w politykę się wpakował. A z ojcem jakie awantury były! Przez ścianę mieszkamy, to wszystko słychać: przychodzi raz stary ze służby, a tu Geniek z kolegami taką politykę prowadzą, że huczy! A mój Kubasiewicz jak nie wrzaśnie: „Wont stąd, bo ja przez ciebie, durniu, nie myślę stanowiska stracić". Aż się cicho zrobiło. Cicho na drugi dzień, cicho — na trzeci. Więc się pytam Kubasiewiczki (bo musi pani wiedzieć, że ona z nieboszczką moją starszą siostrą, to wielkie koleżanki za panieńskich czasów były); więc pytam się ja jej: „Cóż to Genia jakoś nie widać?" A ona nic po sobie nie daje poznać, tylko się jej te podmalowane oczy błyszczą (w takich latach kobita) i powiada: „Na praktykę pojechał w Poznańskie, a może go i zagranicę na lepszą naukę wyślemy". No i wypraktykował sobie zagranicę: trzy dni będzie, jak jeden z Krochmalnej mówił mojemu mężowi, że go ze trzy miesiące temu w Krakowie aresztowali. Jadło — myślę sobie — brzuchy wam rozpiera... Nagle, jak na sprężynce, wskakuje na najwyższy schodek ulizany od wody, opalony chłopak.

— Mamo, my żeśmy już przyszli z ryb i ojciec się obudził.

— To lecę. A po mąkę wpadnę wieczorem.

Poderwała. Odprężają się usta, miga coś w oczach. Przecie to jednak dobrze jest być potrzebną, nie mieć czasu, choć tam ten kryzys, choć się przed samą sobą udaje, że zacierka to wielkie gotowanie, że musowo na tę i na tę godzinę...

(Dok. nast.). *Aleksandra Gadomska*

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Czasem wstydzą się nawet w... Niemczech hitlerowskich. Skonfiskowano tam np. książkę prof. Ewalda Bansa, który jest pierwszym wykładowcą „nauki obrony". Ogłosił on dzieło p. t. „Teorja obrony narodowej". Zapowiedział w tej książce „zjednoczenie w jednem państwie wszystkich Niemców Europy środkowej". A jakiego rodzaju „obrona" ma doprowadzić do tego znakomitego rezultatu, tłomaczą takie n.p. tezy jego teorji:

— Brzegi Anglji i Irlandji mają około 11.000 klm. Ale w rzeczywistości tylko dwa punkty tego wybrzeża mogą wchodzić w rachubę dla ewentualnego desantu: szeroki półwysep Norfolk - Suffolk, utworzony przez ujście rzek Wash i Tamizy i półwysep Kent-Sussex, utworzony przez Tamizę i kanał La Manche. Zajęcie tego półwyspu byłoby nawet groźniejsze dla stolicy W. Brytanji, niż okupacja Norfolku i Suffolku".

Tak wygląda „obrona" rozbrojonych Niemiec. W Berlinie zawstydzono się tej teorji i książkę Banse'go wycofano z obiegu.

Niezawsze wstyd berliński ma takie nieszkodliwe konsekwencje. Zdarza się gorzej. Ofiarą takiego obłudnego wstydu padł dziennikarz angielski korespondent *Daily Telegraph'u*, Panter, który opisał dokładnie jedną z rewij szturmowców przed Hitlerem. Opis ten bez żadnych komentarzy wyraźnie wskazywał na militarystyczno - napastniczy charakter formacyj hitlerowskich, a więc na objaw znany i stanowiący poniekąd przedmiot dumy partji nacjonal - socjalistycznej.

Tymczasem wodzowie III Rzeszy „zawstydzili się", schwytali redaktora Pantera, wsadzili do więzienia, odcięli mu komunikację ze światem i oskarżyli go... o zdradę tajemnic państwa.

W obronie uwięzionego sumiennego dziennikarza podniósł głos Syndykat dziennikarzy angielskich i Organizacja dziennikarzy akredytowanych przy Lidze Narodów.

Rząd p. p. Mac Donalda i sir'a Johna Simon'a bardzo lękliwie ujął się za swoim współobywatelem. Jedno z pism angielskich wyraziło nawet zdziwienie „dlaczego tak skromni są względem Berlina ci, którzy tyle krzyczeli pod adresem Moskwy". Była to aluzja do słynnej sprawy inżynierów angielskich w Rosji, dawno zresztą już zlikwidowanej.

Po silnej kampanji prasy angielskiej i naskutek dyplomatycznej interwencji W. Brytanji Panter został zwolniony.

Zrobił pewne doświadczenia w tej dziedzinie amerykański prezydent—„rewolucjonista" Roosevelt. Na tem tle zaszedł w miejscowości Talassee w Stanach Zjednoczonych incydent wymowny i pouczający.

Talassee Tribune redagowana przez p. D. Dick Thompsona wystąpiła przeciw wprowadzeniu kodeksu pracy w jednej z miejscowych fabryk włókienniczych i zapowiedziała ogłoszenie wywiadów na ten temat.

Miejscowy delegat departamentu pracy — reprezentant rządu centralnego — p. Dunnegan zagroził wówczas redaktorowi, że będzie pociągnięty do odpowiedzialności za pogwałcenie ustawy o National Recovery Act (o odbudowie gospodarki narodowej) i wydał zakaz ogłaszania zapowiedzianych wywiadów.

Red. Thompson odpowiedział na to w swojem piśmie takiem zasadniczem wyznaniem wiary, które podpisze oburącz każdy dziennikarz:

— Żaden biurokrata ani urzędnik nie ma prawa dyktowania dziennikowi, co ma on drukować, a czego nie. P. Dunnegan reprezentuje w Talassee departament pracy, ale nie jest uprawniony do zmieniania konstytucji Stanów Zjednoczonych. Redaktor naczelny pisma będzie nadal wyrażał na jego łamach swoje zdanie, dopóki konstytucja Stanów Zjednoczonych przyznawać mu będzie wolność druku i słowa".

Na tem polemika zakończyła się. P. Dunnegan zamilkł, a p. Thompson dalej drukuje swoje artykuły. Tak samo mniej więcej w szerszym zakresie wygląda zatarg p. Roosevelta z całą prasą.

Wszechmocny prezydent Stanów Zjenoczonych nie może nic począć wobec redaktora gazetki prowincjonalnej, zasłoniętego zasadą i prawem wolności prasy, a w tym samym czasie święci już 12-stą rocznicę w Italji faszyzm, który m. in. oparł się na negacji tej wolności prasy. Rocznicę obchodzono uroczyście: podsumowano wyniki prac reżimu, osiągnięte w roku jedenastym i przez całe jedenaście lat. Rachunek wypadł imponująco: Italja odnowiła się i przebudowała, odnalazła swoją przeszłość, dopędziła teraźniejszość i zakreśliła sobie dużą przyszłość. Na roboty publiczne w ciągu 11 lat faszyzmu wydano około 25 miljardów lirów, a w ostatnim roku — 2 miljardy lirów. Stanęły za to pałace i sierocińce, szkoły i letniska dla dzieci, dźwignięto do chwały historycznej pamiątki bogatych dziejów, zbudowano setki kilometrów autostrad, osuszono błota, wzniesiono na nich osady i żyzne u-

rodzajne pola, wyrosły mosty, nowe dworce i nowe linje kolejowe... Oczywiście powstaje pytanie, czy nie za drogo naród włoski zapłacił za ten gigantyczny krok naprzód na drodze cywilizacji materjalnej, czy duch ludzki nie ugina się pod ciężarem tych „opera del regime", czy nawet poprostu byt materjalny miljonów Włochów nie został ograniczony i utrudniony w dzisiejszem pokoleniu na rzecz pokoleń przyszłych?

To samo zagadnienie mamy przed sobą i w Rosji, gdzie na jeszcze większą skalę i z niższego stopnia cywilizacji wyciąga się twardą ręką miljony ku górze, na której owoce spożywać będą dopiero potomkowie dzisiejszych obywateli Sowietów.

Świąt tego rodzaju, co 12-lecie faszyzmu, przypadło w tym okresie więcej. Republika Turecka też święciła swoje dziesięciolecie, w którem z przesądów Koranu i dawnych obyczajów wkroczyła w nowożytne warunki życia.

Piętnastolecie swe obchodziła i republika Czechosłowacka, w momencie, gdy jej demokratyczne fundamenty wstrząsa huragan niebezpieczeństw i przemian dziejowych.

Ubiegłe lata, w których poniewierano hasłami wolności, a jednak tworzono wiele dla przyszłości, jak w Italji i w Związku Sowieckim, nie uprawniają do wyciągania wniosków, że tylko bez wolności rozwija się twórczość i siła narodów.

Są to epizody w życiu, państw i narodów, nie podważające zasad.

W ostatnich właśnie dniach można było wyczytać z podziwem na łamach prasy włoskiej dość swobodną krytykę nowych zamierzeń Mussolini'ego, co do stworzenia izby korporacyjnej. Jeden z publicystów włoskich dowodzi, że jest ona zupełnie zbyteczna, bo przy konfliktach między pracą a kapitałem i tak decyduje ingerencja władzy państwowej, a jeżeli przedstawiciele pracodawców i robotników nie mogą się porozumieć przez swoje związki, to dlaczegożby mieli dojść do kompromisu w stałej Izbie. Było to krytyka projektu Izby korporacyjnej, istniejącej obok faszystowskiego parlamentu. W dniu święta faszystowskiego Mussolini i jego wykonawcy zapowiedzieli coś innego, zastąpienie izby faszystowskiej przez izbę korporacyjną, której członków wybiera się z większą swobodą (coprawda w ciaśniejszem kole), niż wyznaczonych posłów do Izby. Trudno powiedzieć, co z tych mgławicowych projektów wyłoni się, ale jedno widać, że epizod faszyzmu, w miarę, jak spełnia swą rolę, sam dla siebie szuka wyjścia na starych drogach rozwoju ludzkości.

Na tem tle śmieszne są spory różnego rodzaju kierunków antywolnościowych o to, który z nich jest najstarszy i oryginalny. Mussolini z dużą dozą słuszności proklamuje prymat faszyzmu. Prasa włoska pokpiwa sobie bardzo z „rasowych" teorji hitleryzmu, ten ostatni chciałby być przykładem i wzorem dla całego świata.

Są jednak i inni pretendenci do tej zasługi. Np. *Gazeta Warszawska* poczuła się dotknięta, gdy hitlerowski *Börsen Kurrier*, chwaląc polską narodową - demokrację za antysemityzm, oświadczył, że wzoruje się ona na nacjonal - socjalizmie. Z oburzeniem zauważono wówczas na łamach *Gazety Warszawskiej:*

„Dziennik berliński zapomina, że antysemityzm polski jest znacznie starszy od niemieckiego, a wywodów Romana Dmowskiego o hitleryzmie napewno nie przepuściłaby cenzura berlińska".

Gdzie były takie „niecenzuralne" wywody p. Romana Dmowskiego o hitleryzmie, w Polsce nie wiadomo. Przeciwnie, nieraz czyta się na łamach *Gazety Warszawskiej* zdania pełne zazdrości z powodu sukcesów hitleryzmu w Niemczech. Spór zaś o to, kto wcześniej zaczął szerzyć nienawiść narodowościową, wyznaniową, czy rasową, doprawdy nie ma żadnego sensu. Zawsze tacy „szerzyciele" bywali, tylko nie zawsze i nie wszędzie dochodzili do możliwości urzeczywistniania swoich barbarzyńskich teoryj.

St. Gr.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu St. W. M. w Krakowie. Nie nadaje się do druku.

Panu Jarosławowi Z. w Katowicach. Adres Ligi Reformy Obyczajów w Warszawie: Królewska 16.

Panu Mieczysławowi G. w Zawierciu. Wysłaliśmy wszystkim. Dziękujemy.

Pani Janinie K. w Dąbrowie Górniczej. Skorzystamy.

Pani „Infamie" w Warszawie. Prosimy o skomunikowanie się z redakcją.

Panu Kazimierzowi L. w Grodzisku. W n-rze 40-tym „Epoki".

Panu „Wesołemu" w Warszawie. Rzecz ta nadaje się raczej do jakiegoś „Eroticonu". Tego rodzaju „utworów" nie zamieszczamy.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Dr. med. Ludwik Krzewiński: Pierwsza pomoc w zatruciach gazami bojowemi. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa, 1933.

Dr. Stefan Banach: Rachunek różniczkowy i całkowy. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa, 1933.

Alfons Dzięciołowski: Było ich trzy. Poezje. T. Hoesick. Warszawa, 1933.

Józef Roth: Hotel Savoy. Powieść. Przekład dr. I. Bermana. Wydawnictwo „Sigma". Lwów, 1933.

Herman Kesten: Szczęśliwi ludzie. Powieść. Przekład dr. I. Bermana. Wyd. „Sigma". Lwów, 1933.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-678 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.